HELENA GRZESIK
ur. 1925; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Szkoła przy ulicy Długiej
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	szkoła

Szkoła przy ulicy Długiej

Rzadko chodziłam do miasta, dopiero później, jak przeniosłam się z tej szkoły powszechnej. Tu ukończyłam 4 klasy - przy ulicy Długiej była szkoła nr 16. Była ta szkoła piętnasta i szesnasta w jednym budynku i ja kończyłam tu 4 klasy a później przeniosłam się właśnie koło katedry, ten budynek, który dzisiaj właściwie to jest archiwum obok katedry. W tym budynku, to zdaje się własność Jezuitów i tam mieściła się właściwie szkoła ćwiczeń przy seminarium pedagogicznym, więc to był taki wyższy poziom i można było po prostu z szóstej klasy już przejść do gimnazjum. Tam chodziłam dwa lata. Cztery i tam piątą i szóstą. Tam kończyłam. Więc wtedy maszerowałam, ponieważ nie było żadnej komunikacji miejskiej oprócz dorożek tam gdzie niegdzie taksówki, więc maszerowałam pieszo zimę i lato, maszerowałam jakieś pół godziny mi to chyba zajęło. No taki przypadek, który mi utkwił ze szkoły - mieliśmy bardzo dobrego księdza - ksiądz Surowski. Młody człowiek, wysoki, przystojny, dobrze zbudowany, brunet i o gołębim sercu. To był ojciec po prostu. Przecież było dużo dzieci, rodzice byli... to znaczy ojciec był bezrobotny na przykład i nie jadały drugiego śniadania. 'Dlaczego nie jadasz?' - on się pyta, 'Bo nie mam tam na bułkę, czy kawę czy kakao, bo tatuś nie pracuje'. 'Masz 20 groszy - jedz'. Było takie kino Gwiazda, tu się mieściło przy ulicy Bernardyńskiej koło kościoła, to własność chyba księży i tam zawsze cała szkoła chodziła na film. No więc też niektóre dzieci nie chodziły, bo nie miały pieniędzy, bo tatuś bezrobotny. No więc ksiądz: 'masz 20 groszy - idziesz na ten film'. Kochaliśmy go wszyscy, to był ojciec taki naprawdę. I proszę sobie wyobrazić, że kiedyś utopiła się jedna z uczennic z siódmej klasy i on poszedł zupełnie bezinteresownie, bez zapłaty na pogrzeb. (...) No to był człowiek taki oddany. I potem jacyś inni księża kogoś tam nasłali i wybili mu okna na plebani, tu na Bronowicach. I do tego stopnia, że chcieli go się pozbyć, bo właśnie szedł do chorych, do biednych, wspomagał, w ogóle, robił to bezinteresownie. Przez wszystkich był lubiany, ale do tego doprowadzono, że tego księdza przeniesiono do Piask tu pod Lublinem. I wtedy jak dyrektor przyprowadził drugiego księdza, to myśmy się zbuntowali i zaczęliśmy skandować: 'my chcemy księdza Surowskiego', tupaliśmy i biliśmy rękoma w ławki. Oczywiście dyrektor był blady, zdenerwował się, krzyczał, że nas wyrzuci ze szkoły, żebyśmy byli cicho, a my, ksiądz ten nowy był w głupiej sytuacji, na takie powitanie, ale to nic nie pomogło, bo jednak przeniesiono tego księdza, wszyscy byli zbulwersowani tym i potem się dopiero po wojnie dowiedziałam, że on w czasie wojny zginął w obozie. Ja tu cztery klasy skończyłam a później właśnie już chodziłam tam. Był poziom wyższy w tej szkole ćwiczeń. To były dwie ćwiczeniówki.

Mój brat chodził do męskiej, ja do żeńskiej. Tam w tej szkole młodzi nauczyciele się ćwiczyli, ale ci właśnie starsi, dyrektor i w ogóle byli bardzo ciekawi, no i właśnie tam była sama śmietanka, elita, dzieci dyrektorów, profesorów, lekarzy, sędziów, adwokatów. Więc ja się też przyjaźniłam z taką Noemi, Żydówką, której ojciec był prezesem sądu. To kiedyś mieściło się tu vis a vis katedry, taki budynek przy ulicy Królewskiej, tam prawda, tak się w dół wchodzi do tej bramy. Tam kiedyś był Sąd Okręgowy - tam pracował mój tatuś, a właśnie jej ojciec był prezesem tego sądu. Też nie pamiętam jej nazwiska, wiem tylko, że miała na imię Noemi a także była Anka Levin, córka lekarza - ginekologa. Później słyszałam różne wersje, że oni popełnili samobójstwo, że ojciec po prostu podał truciznę. On był wdowcem i tylko tą jedyną córkę miał. Że oni tak zginęli, ale różne są wersje. Później okupacja i w ogóle dla Żydów, to było okropne. I ja później już straciłam kontakt, ponieważ po skończeniu tej szkoły przeszłam do gimnazjum. My, po prostu takie trzy, jak to, proletariuszki byłyśmy. Ja byłam, prawda, mój ojciec był po prostu woźnym w sądzie, pracownikiem fizycznym... I potem była jeszcze właśnie koleżanka, której ojciec był woźnym w tej szkole i jeszcze jedna córka kolejarza, więc my po prostu trzymałyśmy się oddzielnie, ponieważ my już czułyśmy się po prostu tak troszeczkę odizolowane, a tamte dziewczęta już tworzyły sobie takie towarzystwo, prawda, już inna sfera i w ogóle. Wiem, że była pewna dziewczynka - Ola Popówna, zdaje się z jakiejś arystokracji rosyjskiej. Bo zwykle nauczycielka mówiła, żeby ją nie nazywać Olgą Popow, tylko Ola Popówna, żeby to spolszczyć po prostu, żeby ona się dobrze czuła. Ale na przykład tam w szkole, gdy się lekcje zaczynały, więc był śpiew: 'Kiedy ranne wstają zorze', potem modlitwa i tak dalej, więc koleżanki Żydówki przychodziły później i właściwie nie było żadnej różnicy. Naprawdę to było takie jakieś współżycie tej młodzieży, że bez żadnej różnicy. Żydzi raczej się izolowali, swoje święta prawda obchodzili, częstowali tylko niektórymi tam potrawami, ale też tak nie zapraszali nas na swoje święta. To były raczej ich święta, tam nasze. Może gdzieś indziej, słyszałam, że na Ukrainie się zapraszano. A tutaj raczej nie, ale to było bardzo przyjemne, że przynajmniej był poczęstunek.

Data i miejsce nagrania	2000-12-11, Lublin
Rozmawiał/a	Milena Migut
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"